

ANTHONY McCARTEN

Autor *TEORII WSZYSTKIEGO* i *CZASU MROKU*

NETFLIX
FILM NETFLIX

DWÓCH PAPIEŻY

FRANCISZEK, BENEDYKT I DECYZJA,
KTÓRA WSTRZĄSNĘŁA ŚWIATEM



MARGINESY



Moim rodzicom: matce, której ostatnim życzeniem było pojeździć motocyklem po niebie; mojemu ojcu, którego ostatnim zaleceniem dla mnie było „dotrzymanie wiary”; oraz Evie, która ukazała mi Rzym z perspektywy Villi Borghese.

PRZEDMOWA

11 lutego 2013 roku siedemsetletnia tradycja legła w gruzach: papież, dotąd obrońca doktryny i lojalny następca długo znoszącego cierpienia Jana Pawła Wielkiego, wystosował zgola zdumiewające oświadczenie. Po ośmiu latach pontyfikatu Benedykt XVI postanowił z racji podeszłego wieku zrezygnować z urzędu, jednocześnie zachowując dożywotni tytuł papieża seniora (*Papa Emeritus*).

Kilka tygodni później potężne wrota Kaplicy Sykstyńskiej zostały szczelnie zamknięte, a przed kardynałami, ściągniętymi na drugie konklawe w ciągu niespełna dekady, postawiono zadanie wskazania nowego przywódcy duchowego dla 1,28 miliarda wiernych Kościoła katolickiego*. Kiedy po paru dniach drzwi ponownie stanęły otworem, nowym wybranym okazał się Jorge Bergoglio, charyzmatyczny Argentyńczyk, który przyjął imię Franciszka. Po raz pierwszy od 1415 roku świat miał dwóch żyjących papieży.

Przyczyny decyzji Benedykta stały się pożywką dla plotek. Przecież tylko śmierć może zwolnić papieża z piastowanego stanowiska. Czyż jego obowiązkiem nie jest dożywotnia posługa?

* W 2005 roku, w początkach pontyfikatu Benedykta XVI, szacowana liczba katolików na świecie wynosiła 1,1 miliarda. W chwili, gdy na tronie Piotrowym zasiadał Franciszek (rok 2013), statystyki wskazywały na 1,25 miliarda wiernych Kościoła katolickiego (przyp. red.).

Mało że to tradycja, to niemalże dogmat, co „Washington Post” wyjaśniał, powołując się na słowa doświadczonego teologa: „Większość współczesnych papieży czuła, że ustąpienie nie wchodzi w grę poza przypadkiem wystąpienia nieuleczalnej bądź wyniszczającej choroby; ujmując to słowami Pawła VI: ojcostwa zrzec się nie sposób”.

Rezygnacja Benedykta XVI nie była aż tak całkiem bezprecedensowa, podobnie jak sytuacja, w której Kościół ma dwóch żyjących papieży. W długiej historii tej instytucji zrezygnowało dotąd trzech namiestników Chrystusowych, nie stało się to natomiast w przypadku dwustu sześćdziesięciu trzech innych. Papież Grzegorz XII ustąpił z tronu Piotrowego w 1415 roku w związku z politycznym sporem między Włochami a Francją co do kwestii, kto tak naprawdę sprawuje pieczę nad Kościołem katolickim. Musimy jednak cofnąć się aż do roku 1294, do czasów Celestyna V, by znaleźć papieża, który postanowił ustąpić z własnej nieprzymuszonej woli – z racji „tęsknoty za spokojnością jego dotychczasowego żywota”.

Reakcją na szokującą decyzję Celestyna była wściekłość. W trzeciej pieśni *Piekle* Dantego w *Boskiej komedii* jest fragment, w którym Wergiliusz prowadzi porte-parole Dantego przez bramy piekielne. Zanim dotrą do piekła, wchodzi do przedsionka wypełnionego kakofonią przejmujących jęków dusz nieszczęsnych, które żywot przeżyły „bez hańby i chwały”. Przebywają tam ludzie w istocie gorsi niż grzesznicy, zawiedli bowiem w działaniu, w wierze bądź w dotrzymaniu przyrzeczeń. Dante wpatruje się w potępione twarze tych nieodwołalnie zgubionych postaci, aż w którymś momencie dostrzega jedną z nich i pisze: „Poznałem wielu i ów cień, co zbłądził / Wielkim ustępstwem”¹. Tym człowiekiem jest oczywiście papież Celestyn V, którego ustępstwo tak bardzo wstrząsnęło wielkim włoskim poetą, że ten uwiecznił go w swoim opus magnum.

Dlaczego zatem Benedykt XVI – najbardziej tradycyjny papież współczesności, w pełni świadomy, jakie wzburzenie wywoła rezygnacja głowy Kościoła – podejmuje najmniej tradycyjną i przewidywalną decyzję z możliwych? Kwestia słabego zdrowia nie uchodzi za dostateczne uzasadnienie, co więcej, ono zazwyczaj było a t u t e m papieża, unaocznionym przed wszystkimi odbiciem cierpienia Chrystusa na krzyżu. Jakaś inna tajemnica musiała się za tym kryć: jak ten skrajnie konserwatywny obrońca wiary, prawdziwy stróż doktryny może w ogóle rozważyć rezygnację, skoro – o czym doskonale wiedział – oddawałby tron Piotrowy w ręce radykała Jorgego Bergoglia, człowieka jakże odmiennego pod względem usposobienia i poglądów?

Niniejsza książka opowiada historię dwóch papieży, obydwu obdarzonych kolosalnym, niezbywalnym autorytetem. Losy tej niedobranej pary zbiegły się ze sobą, a jedna postać gruntownie wpłynęła na drugą.

Wpierw przyjrzymy się Benedyktowi, czyli byłemu kardynałowi Josephowi Ratzingerowi, niemieckiemu intelektualistcie z wątpliwym poczuciem humoru, introwertykowi uwielbiającemu zbytek, ubierającemu się cokolwiek fircykowato (wskrzesił papieską tradycję noszenia aksamitnych czerwonych pantofli, a także zlecił perfumiarzowi, by stworzył wyjątkowy zapach na jego wyłączny użytek), który uważał, że sprzeciw Kościoła wobec ustępstw i zmian jest jego największą siłą, a przez to – tajemnicą jego nieprzemijalności. Ten człowiek, szczerzy w swoich religijnych powinnościach, jest przy tym całkowicie pozbawiony umiejętności nawiązywania kontaktu ze zwykłymi ludźmi. O jego zainteresowaniach jakąkolwiek dyscypliną sportową nic nie wiadomo. Prawdopodobnie nigdy nie wypowiedział romantycznego słowa do drugiej osoby.

Na drugim krańcu jest Franciszek, którego najpierw poznamy jako kardynała Bergoglia. To obdarzony charyzmą i niestroniący

od rozrywki Argentyńczyk, na pierwszy rzut oka człowiek prosty, ekstrawertyk, preferujący zdecydowanie niewyszukany sposób ubierania się (w tej samej parze czarnych butów chodził przez dwadzieścia lat, wciąż też nosi swatcha). Był czasem większym, czasem mniejszym adwokatem teologii wyzwolenia – katolickiego ruchu, który dąży do pomagania biednym i uciskanym poprzez bezpośrednie zaangażowanie w sprawy polityczne i obywatelskie. Dobry kontakt ze zwykłymi ludźmi przychodzi mu bez trudu. To trybun ludowy. Niegdyś miał nawet dziewczynę. Pracował w klubie tango jako wykidajło. Jest zapalonym kibicem piłkarskim.

Motywym przewodnim w przypadku obydwu tych postaci jest grzech, a ściślej mówiąc – łaska boska i dodatkowa mądrość, które spływają, jeśli grzesznik potrafi przyznać się do swoich niedostatków, a grzechy zostawić za sobą. O ileż mądrzejszy, o ileż wartościowszy jako przyszły nauczyciel, uzdrowiciel i przewodnik będzie człowiek, który ma pełne – z własnego doświadczenia – pojęcie na temat ludzkich słabości, wad czy kłopotów i który wzniosł się ponad ową mroczną wnikliwość, by ujrzeć prawdziwe wymiary tego problemu. A co za tym idzie: o ileż mniej wartościowej, a nawet o ileż niebezpieczniejszy jest ktoś, komu nie udało się tego osiągnąć.

Jorge Bergoglio otwarcie określa siebie mianem grzesznika i nieustannie podkreśla, że nie jest to żaden eufemizm ani wyświechtany zwrot. Zgrzeszył. Ba, idzie nawet dalej i kontrowersyjnie oświadcza, że rytualne wyznanie grzechów przed księdzem podczas spowiedzi nie wystarcza. Człowiek, aby odpokutować za grzechy w życiu codziennym, musi podjąć odpowiednie kroki, dokonać prawdziwych, głębokich zmian w swoim życiu. Nikt nie może dostać czystej karty ot tak, po krótkiej wizycie w konfesjonału. Człowiek musi działać. Jak to ujął Bergoglio: „Grzech to coś więcej niż plama, którą usuniemy, udając się do pralni chemicznej. To rana, którą trzeba się zająć, wygoić ją”.

Taka logika zapowiada iście reformistyczne porządki, które – jeśli ma się zielone światło na ich wdrażanie – w naturalny sposób sięgnęłyby wielu innych obszarów wierzeń religijnych i doktrynalnego nauczania. Dlaczego, przykładowo, przestrzegający celibatu ksiądz miałby się dobrze odnajdywać w nauczaniu na tematy związane z seksem? Z podobną otwartością Kościół powinien przyznać, że z pewnością nie ma najlepszych kwalifikacji, aby narzucać poglądy w tej dziedzinie. Jak niby ludzie żyjący w czystości, nieprowadzący życia intymnego, mieliby osądzać aktywność seksualną swoich parafian, których doświadczenie życiowe jest o wiele pełniejsze i odmienne? Jak niegdyś dowcipkował Frank Sinatra: „Wasza Świątobliwość, gdy kto nie uczestniczy w grze, nie ustala jej zasad”. Albo z nieco innej perspektywy: jak żyjący w celibacie kościelny nowicjusz zapytany o to, czy jest gotów na całe życie wyrzec się seksu, może w dniu odebrania święceń kapłańskich mieć pełną świadomość, czego się tak naprawdę wyrzeka? To niemożliwe. Jeśli taki naiwny młodzian nigdy nie odczuł swojego popędu płciowego, to co pocznie, jeśli pewnego dnia popęd da silnie o sobie znać? Poczuje – podobnie jak wielu przed nim – przymus prowadzenia podwójnego życia, co niekiedy niesie za sobą tragiczne konsekwencje, a także wiele niewinnych ofiar. A dlaczego Kościół decyduje, że tylko mężczyźni przestrzegający celibatu mogą odpowiedzialnie w imię Boże poprowadzić duszpasterską posługę? Gdyby historia Adama i Ewy była, jak stwierdził Franciszek, jedynie przypowieścią i nie traktowano by jej jako faktu historycznego – dzięki czemu można by kwestionować mit o stworzeniu świata w siedem dni – to co jeszcze ze świętych ksiąg należałoby potraktować jako dzieło wyobraźni? Może nawet historia o zmartwychwstaniu Chrystusa, wstępującego cieleśnie do nieba, to obecnie już li tylko przypowieść? Gdyby ducha otwartości Franciszka konsekwentnie rozszerzyć na wszystkie obszary dogmatów i wiary, w którym miejscu zatrzymałyby się te zmiany?

Opisywana w niniejszej książce historia toczy się przede wszystkim w Watykanie pogrążonym w kryzysie i skandalach, odrzucającym proste kroki naprawcze, świadomym konieczności zmiany, a obawiającym się strat, z jakimi to się wiąże. W Watykanie, w którym jeden papież – ze względu na swoją przeszłość – postrzega siebie jako człowieka bez autorytetu moralnego, umiejętności, a także siły do stawienia czoła owym skandalom, a drugi, nowy – ze względu na swoją przeszłość – przyznaje, że sam jest grzesznikiem, a jednocześnie pretenduje do duchowego przewodzenia ponad miliardowi wiernych.

To kluczowa stacja przesiadkowa w podróży instytucji, która przetrwała dwa tysiące lat.

Gdy w jednym czasie żyje dwóch papieży, powstaje interesujący dylemat związany z pojęciem papieskiej nieomyślności.

Zajmijmy się tym pokrótce.

Przez dwa tysiąclecia Kościół usiłował nie dopuścić, aby było dwóch żyjących w jednym czasie papieży, i odniósł pod tym względem niemal całkowity sukces. Niektórych namiestników Chrystusowych nawet truto, byleby nie doszło do takiej sytuacji. Dlaczego papież nie może po prostu pełnić swojej funkcji przez określony czas, a potem ustąpić na rzecz młodszego następcy? Jaki jest tego powód? *Nieomyślność*. Łaska nieomyślności. Dar słuszności, dar od Boga dla wybrańca zasiadającego na tronie Piotrowym, łaska posiadania bezsprzecznej racji we wszelkich sprawach związanych z doktryną, w teraźniejszości i – co ważniejsze – w przyszłości, po wsze czasy. Kiedy papież przemawia *ex cathedra*, z wysokości tronu Piotrowego, wypowiadając się jako głowa Kościoła, a nie osoba prywatna, jego słowa tworzą część Magisterium, czyli oficjalnego nauczania Kościoła katolickiego, za którym stoi siła i autorytet Chrystusa. Jak mogą współistnieć Ratzinger i Bergoglio i obaj pozostawać nieomyślnymi, obydwaj mieć rację...

gdy prezentują odmienne zdanie w tak wielu kwestiach? Można więc powiedzieć, że jak długo obaj będą koegzystować, tak długo muszą służyć za nieustający dowód papieskiej omylności, ponieważ za każdym razem, kiedy by się ze sobą nie zgadzali, jeden z papieży nie miałby racji. A papież, który nie ma racji i któremu dowiedziono tego przez samo istnienie jego lustrzanego odpowiednika – jego głosu równoważącego – w ogóle nie jest papieżem. Dla każdego papieskiego oświadczenia istnieje żywy dowód jego fałszywości, chodzący kontrargument, który go unieważnia. Jak obaj mogą być pełni miłości Bożej i obdarzeni błogosławionym darem mądrości najwyższej... a przy tym nie zgadzać się ze sobą?

Zważywszy więc, że – w chwili pisania niniejszej książki – dostępne są dwa papieskie punkty widzenia, katolicy (a nawet niektóre ważne postaci Kościoła) mogą sobie wybierać, który papież i które stanowisko papieskie bardziej im odpowiada, Benedykta czy Franciszka. Jest to potencjalny dylemat wynikający z istnienia dwóch najwyższych kapłanów, czyniący ten problem niezwykle realnym. Bezsprzecznie konserwatywny amerykański kardynał Raymond Burke, otwarty krytyk głowy Kościoła z Argentyny, powiedział w 2016 roku w wywiadzie dla katolickiego dziennika: „To Benedykt jest moim papieżem”². Były papieski ambasador w Stanach Zjednoczonych, arcybiskup o konserwatywnych poglądach Carlo Maria Viganò, wezwał wręcz argentyńskiego papieża do ustąpienia. Viganò utrzymuje, że niegdyś doniósł papieżowi o skandalach seksualnych amerykańskiego kardynała Theodore’a McCarricka, a Franciszek jeszcze długo potem nie podjął żadnych zdecydowanych kroków. Niektórzy uważają, że jest to w wydaniu arcybiskupa forma zemsty na Argentyńczyku za pozbawienie go stanowiska nuncjusza papieskiego (co było domniemaną karą za zaaranżowanie przez Viganò tajnego zebrania z amerykańskimi konserwatystami sprzeciwiającymi się

małżeństwom homoseksualnym). Abstrahując od tego, czy w tym niepodpartym dowodami oskarżeniu ze strony arcybiskupa Viganò jest ziarno prawdy, współcześnie nie było takiego przypadku, żeby papież był tak rebeliancko atakowany przez własne duchowieństwo.

Ale i sam Benedykt w niecodziennym liście upubliczonym przez Watykan w marcu 2018 roku beształ osoby pokroju kardynała Burke'a, które wciąż deklarowały mu wierność. Co więcej, okazywał solidarność z Franciszkiem i ostro krytykował tych, którzy dowodzili teologicznej nieciągłości jego pontyfikatu, nazywając wzburzenie przeciwników nowego papieża „głupimi uprzedzeniami”³. W ramach rewanżu Franciszek publicznie wyściskał swojego poprzednika i przyrównał sytuację, w której żyje Ratzinger, do „posiadania mądrego dziadka w swoim domu”⁴. Czy tacy Burke'owie i Viganòwie katolickiego Kościoła zostali przekonani i skłonieni do milczenia? Niekoniecznie. A może wręcz przeciwnie.

Joseph Ratzinger to niebywały człowiek z zasadami. W niniejszej książce wejrzę w jego przeszłość, aby zrozumieć źródło jego głębokiego przeświadczenia, że zmiana jest w większym stopniu oznaką słabości aniżeli siły.

Nominacja tego człowieka na papieża w 2005 roku z pewnością oznaczała w ówczesnych okolicznościach wariant przewidywalny, pewny. On po prostu był pewny. Po pokazowym pontyfikacie Jana Pawła II – wychodzącego do ludzi, nieustannie w podróży (czy ostał się pas startowy jakiegoś lotniska na świecie, którego Polak nie okraszyłby pocałunkiem swoich warg?) – Kościół musiał odpocząć i zająć się porządkami na własnym podwórku. Benedykt, wybitny teolog, zabezpieczył odwieczną doktrynę i umocnił na nowo. Krótko mówiąc, zagwarantował dalsze opóźnienie spóźnionych reform. To była jego siła i wartość. Nawet w dzieciństwie utrzymy-

wał swój pokój w nienaganej czystości. Wszystko wskazuje na to, że ten syn policjanta wierzył, że tylko w autorytecie – w zasadach, w posłuszeństwie prawu, w trwałości i niezachwianiu – wierni odnajdą prawdziwy spokój. Wątpliwości, niepewność, wahania, a także ulepszenia prowokują niezadowolenie, zwątpienie, cynizm, a ostatecznie – pogardę. Zapewne przekonywałyby nas do przyznania mu racji, że ludzkie dusze usilnie pragną poczucia pewności. Nieraz powtarzał, na czym w jego przekonaniu polega największe zagrożenie dla owej pewności: widmo relatywizmu. Bardzo ubolewał nad występowaniem w minionych kilkudziesięciu latach tyłu zapowiedzi zmian doktrynalnych, tyłu ideologicznych nurtów, tyłu nowych sposobów myślenia. Jakże mamy w takim świecie wiedzieć, kto mówi prawdę? Co jest prawdą? Światem wstrząsają konkurujące głosy – marksiści, liberałowie, konserwatyści, ateści, agnostycy, mistycy – a w każdym pobrzmiwa uniwersalny okrzyk: „To ja głoszę prawdę! Ja i tylko ja!”.

Nie, mówi na to Ratzinger, prawda jest tylko jedna. Pan rzekł: „Ja jestem prawdą”⁵. Istotą nauczania Ratzingera jest to, że jeśli mamy uniknąć chaosu, kataklizmu i konfliktu, musimy mieć jakiś powszechny punkt odniesienia, jakąś *axis mundi*. Jedna prawda, od której wszyscy możemy wyjść i odnajdywać drogę – oto doktrynalne stanowisko, porównywalne do kompasu, który wskazuje wszystkie strony, ale potrzebuje punktu wyjścia w postaci północy geograficznej. Tylko wówczas może pomóc wędrowcom w ich podróży i kierować ich na odpowiednią ścieżkę. To samo – zdaje się mówić nam Ratzinger – tyczy się ludzkiej moralności. Co dla niej stanowić będzie geograficzną północ? Bóg. Bez niego ludzkość nie ma uzgodnionego punktu odniesienia, nie ma *axis mundi*. Każdy pogląd jest równie uzasadniony jak każdy inny. Prawda staje się względna. Zabicie Boga to tak naprawdę pozbawienie ludzkości jakiegokolwiek nadziei co do prawdy absolutnej. Twoja prawda jest twoją, moja jest moją, a to zamyka każdego

w więzieniu jego lub jej własnego rozumienia tego, czym jest dobro i zło.

Ratzinger tak właśnie postrzega wielki kryzys zachodniej cywilizacji: to klątwa relatywizmu. Jakie poczynił on spustoszenia? Niemiec wyraźnie widział, jak – przynajmniej w anglojęzycznym świecie – coraz mniej serc zapala się od płomienia liczącej dwa tysiące lat wiary chrześcijańskiej. Spójrzmy na taką Amerykę. Gdyby byłych katolików uznawać za osobną grupę religijną, stanowiąliby obecnie czwartą co do liczebności grupę wyznaniową w Stanach Zjednoczonych. W Wielkiej Brytanii ponad połowa ludzi przed czterdziestym rokiem życia utrzymuje obecnie, że nie wyznaje żadnej religii. Dlaczego tak wielu po cichu i stopniowo przestało odwiedzać kościoły?

Gdy Benedykt został papieżem, czekały na niego inne, o wiele bardziej naglące kryzysy – i to ile. Mężczyźni w sutannach, jego towarzysze, jego personel i współpracownicy w winnicy Pana popełniali przestępstwa. Były to przestępstwa związane z guzikami, często dziecięcymi guzikami, suwakami, rękami, genitaliami, ustami; gwałty, zdrady, tajemnice, zastraszenia, kłamstwa, groźby, trauma, rozpacz, zdruzgotane życie – a całe to zło w atmosferze świętoszkowatości, wśród woni starego kadzidła. Każdy skandal na swój sposób uderzał w Benedykta i kruszył jego przekonanie, że to on jest tym człowiekiem, który może temu zaradzić. Ostentacyjnie zaszokował cały świat. Zrobił to, co nikomu nie przeszło przez myśl. Ustąpił. I paradoksalnie ten wielki tradycjonalista swoją decyzją okradł Kościół z, wydawałoby się, niezbywalnego dogmatu, o którym byli przekonani wierni: że papież jest papieżem po kres swoich dni.

Jorge Bergoglio, reformator, pod jakże wieloma względami jest przeciwieństwem Benedykta. Ledwie został dwieście sześćdziesiątym szóstym papieżem i przyjął imię Franciszka, a już jego

pierwsze, improwizowane wypowiedzi w roli ojca świętego wywoływały zdumienie. Prędko trafił na usta wszystkich, tak jak powszechnie powtarzany komentarz: „Że niby co takiego właśnie powiedział papież?”. Były w tym powiew świeżego powietrza i charyzma prawdziwej gwiazdy rocka. Bergoglio miał w sobie coś również z Johna Lennona (obaj zresztą znaleźli się na okładce czasopisma „Rolling Stone”), ze skłonnością do oświadczeń wywołujących szok i szybszy oddech nawet u najbardziej zagorzałych zwolenników. Spostrzeżeniu Lennona, że Beatlesi są „teraz popularniejsi od Jezusa” (co wprowadziło fundamentalistów z serca Ameryki w amok palenia płyt tego zespołu), mogłoby dorównać zdumiewające stwierdzenie Bergogli, że nawet poganie mogą trafić do nieba. Naprawdę?! Poga nie? Czyciele bożków z drewna, niedzielni drzemkowicze – to teraz oni również mieli wylądować w niebie? Wielu katolików z całego świata słusznie zachodziło więc w głowę, jaki miałyby w takim razie być cel tych wielu, wielu modlitw, liczonych w tysiące godzin na zdrętwiałych kolanach, tych wszystkich kazań i połajanek z ambony, wizyt w konfesjonale i pokut będących ich następstwem, i szeptem odmawianych różańców, i odliczania na sznurku kciukiem i palcem wskazującym każdego paciorka, i postów, i sublimowania chuci, i tej całej wymaganej przez Boga miłości, i wreszcie – całej winy, wszędzie tyle tej winy... No i po co to wszystko? Po co... jak nie po to, by mieć nieco forów w zapewnieniu sobie finalnej nagrody w niebiesiech? Ale nowy papież potwierdził swoje słowa: nie może być winą poganina, że przyszedł na świat w pogańskiej kulturze. Jest to zatem dość niesprawiedliwe, że tylko wychowani w Bogu – w związku z miejscem urodzenia, które nie zależy od nich – mogą dostać najlepsze, a nawet jedyne pokoje w hotelu niebieskim. Wydawało się, że takimi uwagami nowy papież jest gotów odnowić ducha lat sześćdziesiątych XX wieku, i to w pojedynkę.

Ale on nie przestawał zaskakiwać. Gejom i lesbijkom ofiarował kościelne przeprosiny *ex cathedra*. Stwierdził, że nie jest rolą Kościoła oceniać homoseksualistów. Ponoć nawet powiedział pewnemu gejowi, Juanowi Carlosowi Cruzowi (oferze molestowania seksualnego), że „Bóg takim cię stworzył i takim cię kocha, a dla mnie to nie ma znaczenia. Papież takim cię kocha”. (Wystarczy zestawić to ze słowami Benedykta, który nazwał homoseksualizm „immanentnym moralnym złem”). Nowy papież nie wykluczył również małżeństw księży, gdy powiedział: „Człowiek chce jednego i drugiego: dobra płynącego z poświęcenia się Bogu i dobra, jakie ofiaruje życie świeckie”⁶. Franciszek skwapliwie przyznaje, że obecne stanowisko Kościoła pachnie hipokryzją, zważywszy, że na rubieżach katolickiego imperium – w odnodze greckiej i rosyjskiej – księża mogą mieć żony. I równie chętnie lubi powtarzać, że nawet sam święty Piotr miał dzieci. Klemens IV i Adrian II byli żonaci, nim przyjęli święcenia kapłańskie. Pius II miał przynajmniej dwoje dzieci z nieprawego łoża. Jan XII ponoć nawet dokonał żywota w trakcie stosunku. Powiedzmy sobie również szczerze, że ci wszyscy papieże, którzy przyjęli imię Innocenty, nie do końca wiedli życie zgodne z jego znaczeniem.

Biblia jako prawda dosłowna? Adam i Ewa to przypowieść. Co w takim razie z niepokalanym poczęciem, ogólnościowym topem, ludźmi, którzy mieli dożywać ośmiuset lat, albo rozstąpieniem wód i cudownym przejściem przez morze suchą stopą – jak traktować to wszystko? Zdaje się, że Franciszek doszedł do wniosku, że ludziom – zwłaszcza na Zachodzie – już nie potrzeba księży, by mówić rzeczy, o których wszyscy i tak wiedzą: że nie są prawdziwe, prawdziwe w ogóle być nie mogą. Co więcej, papież pozwolił sobie na aluzję, że Kościół być może jest osłabiony właśnie takimi twierdzeniami, że historie biblijne należy odczytywać dosłownie, jako prawdę historyczną.

Kultura Kościoła katolickiego? Nazwał ją „narcystyczną”, zbyt zwróconą do wewnątrz, zajęta w większym stopniu własnym przetrwaniem i wzbogaceniem niż potrzebami biednych – a za wypowiadającym te słowa stoi autorytet Magisterium. Posłużył się określeniem „duchowy alzheimer”, by opisać Kościół, który zapomniał o Chrystusowym przykładzie miłosierdzia, i piętnował „księży pnących się po szczeblach kariery, żądnych władzy”. Oświadczył również: „Jak każde ciało, jak każde ludzkie ciało, Kościół jest narażony na choroby, niewydolności, słabości. Trzeba go wyleczyć. Silnymi lekami”.

Molestowanie seksualne? Stojąc na czele Kościoła – o którym Bishop Accountability [dosł. „odpowiedzialność biskupów”], organizacja non profit występująca w obronie osób molestowanych seksualnie przez duchownych, mówi, że zapłacił trzy miliardy dolarów w ramach porozumień z ofiarami na całym świecie – Franciszek obecnie głosi politykę „zera tolerancji” zarówno dla molestowania, jak i, co istotne, dla kościelnych prób tuszowania faktów, nakazując swoim biskupom donosić policji o takich przypadkach pod karą uznania ich za współwinnych. Owe nowe zasady transparentności, nagłośnień i konsekwencji karnych zaczęły już przynosić skutek w postaci wyjątkowego spadku liczby zgłaszanych przypadków molestowania, co sugeruje, że akty przestępstw seksualnych dokonywane przez księży mogły zostać zredukowane, i to właściwie do zera, poprzez odpowiedzialne wprowadzenie natychmiastowych kar (takich jak wyroki więzienia) i usunięcie kościelnego parasola ochronnego rozpostartego nad seksualnymi potworami w sutannach. Jakże szokująco proste mogłoby to być rozwiązanie, o ile policja otrzymałaby nieograniczony dostęp do dokumentacji kościelnej, a Kościół pomagałby ofiarom w walce o sprawiedliwość. Bądź co bądź, władze kościelne mają bardzo silną motywację: gra toczy się o przetrwanie Kościoła.

Kapitalizm? Papież Franciszek uznaje go za grzech, za ustrój tworzący jednym dobrobyt, u innych powodujący cierpienia. Sam został oskarżony o kłusanie ręki, która go karmi.

Środowisko naturalne? Wymierzył oskarżycielsko palec w światowych włodarzy z racji ich grzesznej protekcji dla tych, którzy ranią matkę ziemię i niszczą nasz wspólny dom. W długiej i starannie przygotowanej pod względem naukowym encyklice oddalił punkt widzenia osób negujących zmiany klimatyczne i wyrachowanych szefów branży przemysłu napędzanego perspektywą zysku.

Krótko mówiąc, papież Franciszek zgłosił gotowość do stworzenia sobie potężnych wrogów. Już teraz słychać pomruki niezadowolenia w środowisku kościelnym ze strony tych, którzy życzą sobie prostszych prawd, takich jakie proponował papież Benedykt. Czasami wygląda to tak, jakby Franciszek uosabiał nade wszystko zmianę, a zawsze trudniej było wypracować zbiór argumentów za zmianą niż za *status quo*. W jego rozumowaniu chodzi jednak o to – przynajmniej w moim odczuciu, po uproszczeniu i wydobyciu z niego istoty rzeczy – aby Kościół w mniejszym stopniu narzucał, a w większym włączał, obejmował. Kościół musi pozytywnie, radośnie pogodzić piękne lekcje nauczane w kościołach z pięknymi lekcjami nauczonymi w szkołach.

Powody wyboru imienia Franciszek – za świętym Franciszkiem z Asyżu – teraz mogą wydawać się czytelniejsze: to zapowiedź rewolucyjnych zmian. Jak daleko w tym zajdzie? Jak daleko zostanie dopuszczony?

Jego wzorem do naśladowania jest Francesco Bernardone. Ten młody mężczyzna szedł pewnego razu przez las. Trafiał na zrzuconą kaplicę – jedna ze ścian się zawaliła. Wszedł do środka. Krucyfiks wciąż wisiał tam, gdzie dawniej stał ołtarz. Francesco zawsze później powtarzał, że to „urzekło jego zmysły”. Krucyfiks przemówił doń: „Franciszku, pójdz i odbuduj mój kościół”. Fran-

cesco był człowiekiem czynu i rozumiał to dosłownie. Zgodził się, udał się do kamieniołomu na szczycie Monte Subasio, wyrąbał kamienie, zniósł je z góry i jął naprawiać fragment zburzonej ściany. Żle rozumiał znaczenie słów Boga, który chciał dla niego czegoś o wiele większego. Morał? Nawet najbardziej chwalebna wędrówka może się rozpocząć... od błędu.

Chciałbym zakończyć tę przedmowę uwagą osobistą.

Jestem katolikiem. A przynajmniej tak zostałem wychowany i powiedziano mi – a mogę tym słowom zaświadczyć – że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci.

Zostałem wychowany na opowieści o Jezusie Chrystusie, tym młodym Nazarejczyku, żydowskim radykale sprzed dwóch tysięcy lat, mieniącym się „Synem Człowieczym” lub jeszcze zuchwalej – „Mesjaszem” i „żydowskim królem”, przysłanym przez Boga Ojca z misją uwolnienia ludzkości od grzechu pierworodnego, niszczącego ją od czasów Edenu, schwytanym i ukrzyżowanym, ale powstałym z martwych po dwóch dniach, który następnie wstąpił do nieba, gdzie ma pozostać do bliżej nieokreślonego czasu, aż powróci na ziemię i obwieści kres całego eksperymentu z ludzkością. To była moja religia. Historia wprawdzie nieprawdopodobna, niemniej mająca swoją bezczelną logikę prawdy. Tacyt nazwał chrześcijaństwo „szkodliwym zabobonem”, a pisarz Jorge Luis Borges – „kawałkiem kapitalnej literatury”. Niemniej jednak to właśnie była wiara, w której wyrosłem.

Dorastałem jako drugi najmłodszy członek wielodzietnej rodziny, tak katolickiej, że dwie moje siostry wyszły za mąż – bardzo szczęśliwie zresztą – za byłych księży. Przy naszym stole gościłiśmy kapłanów, specyficznego biskupa, a raz nawet kardynała. Poza wypełnianiem kościelnych praktyk religijnych pozwalaliśmy, aby w naszym domu raz w miesiącu składał wizytę wielki posąg Maryi Dziewicy w ramach podniosłej procesji przez całą parafię,

przez co ja i moje rodzeństwo byliśmy zmuszeni do przyglądania się – pod kontrolą naszej matki – recytowaniu różańca (monotonnemu w moim odczuciu), peanów maryjnych, błagań o pomoc boską. W naszej robotniczej miejscowości życie z pewnością było wystarczająco trudne. Brakowało zarówno dobrych miejsc pracy, jak i pieniędzy, więc uznaliśmy, że pozostawanie w dobrych stosunkach z Matką Boską nie jest najgorszym pomysłem. Nie mędrkuj, po prostu padnij na kolana, a wszystko będzie dobrze, gdy Bóg jest po twojej stronie. Tak to ogólnie wyglądało. Byliśmy posłuszni, bogobojnie padając i wciskając twarze w materac, mamrotaliśmy w kółko wielowiekowe zaklęcia: „Módl się za nami teraz i w godzinę śmierci naszej...”.

Amen.

Gdybyście chcieli poznać podejście moich rodziców do antykoncepcji, mógłbym wam zdradzić, że ich życie więcej miało wspólnego z *coitus* niż z *interruptus*. Jestem jednym z ośmiorga rodzeństwa. Początkowo wychowywały mnie zakonnice, potem przeszedłem pod opiekę wyświęconych braci; chodziłem – z dobrym wynikiem – do dwóch katolickich szkół. Przez całe dzieciństwo służyłem do mszy jako ministrant, po raz ostatni przywdziałem publicznie czerwony kaptur i białą komżę w zawstydzająco dojrzałym wieku szesnastu lat, gdy miałem już młodzieńczy meszek na brodzie i szaty o dwa rozmiary na mnie za małe. Nosilem ampułki z wodą i winem, a potem białą hostię, niewinną, którą ten związany z niebiosami człowiek, czarodziej z sąsiedztwa, przemienił w rzeczywiste ciało Chrystusa. Codzienny cud, który działa się na naszych oczach. To ciało Chrystusa, abrakadabra. Proszę wierzyć lub nie.

Byliśmy katolikami albo ściślej: „irlandzkimi katolikami” (aczkolwiek przesiedlonymi na ziemi Nowej Zelandii cztery pokolenia wcześniej). Płomień naszej irlandzkości palił się w odległym zakątku świata, podtrzymywany przez wielopokoleniową rodzinę,

która załatwiała interesy i wszystkie inne sprawy wyłącznie w zamkniętym kręgu własnej kultury i religii. To nas ukształtowało. A moje dzisiejsze życie, życie pisarza, swoje korzenie ma właśnie w ożywionym pięknie liturgii, pierwszy raz zasłyszanej przez jeszcze chłopiące uszy; w sztuce zawartej w kwiecistym, uroczystym języku, nakłaniającym każdego do wielowymiarowego myślenia w czasie i przestrzeni; w odrzuceniu kontemplowania życia bez uprzednich rozważań na temat śmierci. To, co oparte na faktach, zostało nieodwracalnie szczepione z tym, co fikcyjne, i aktywnie odwodzone nas od prób odróżniania jednego od drugiego. Co zatem, jeśli – tak nas uczono – nie możesz dowieść, że coś jest prawdą? Jak się tego doświadcza? Prowadzą cię twoje emocje. W naszym skromnym kościółku ludzie jawnie szlochali. Ręce w modlitewnym geście były ściśnięte tak mocno, że ich kostki u dłoni aż bieleły. Wiara była tym ludziom równie potrzebna jak wypłata. Po prostu musi a ł e ś wierzyć, choćby po to, aby przetrwać to wszystko. Kościół w naszej miejscowości, sześciokątny, pozbawiony wieży, był w geograficznym i psychologicznym środku naszego życia. Gdybym kiedykolwiek w to wątpił, moja matka postawiłaby mnie do pionu. Jeślibym podważył jakiś aspekt wyznania, zbyt daleko idące twierdzenie z ambony czy księgi, otrzymałbym z jej strony oklepaną reprimendę: „Anthony, skromna wiedza bywa niebezpieczna”. Fakt, że ta kobieta, która naukę w szkole zakończyła w czternastym roku życia, mogła tak łatwo cytować poetę Alexandra Pope’a (czy też przeinaczać cytat, w którym najważniejszym słowem powinno być „uczenie się”, a nie „wiedza”), przytaczam jako dowód na to, że wobec braku edukacji to kościół odgrywał w naszym przypadku rolę uniwersytetu, a ksiądz zastępował nauczyciela akademickiego.

Na powstanie niniejszej książki, a także towarzyszącego jej pełnometrażowego filmu o tym samym tytule (Netflix, 2019, w reżyserii Fernanda Meirellesa, w rolach głównych sir Anthony

Hopkins i Jonathan Pryce), wpłynęła nagła śmierć mojej kuzynki Pauline. Jej odejście skłoniło moją starszą siostrę, żarliwą katoliczkę, do wysłania do mnie esemesa z sugestią, abym zapalił świeczkę, jeśli jestem w pobliżu jakiegoś kościoła. Tak było. Byłem w Rzymie. Udaliśmy się zatem wraz z Evą, moją partnerką, do bazyliki Świętego Piotra w Watykanie i zastaliśmy słynny plac wypełniony tysiącami ludzi, którzy przybyli specjalnie po to, aby zobaczyć i usłyszeć nowego papieża podczas mszy pod gołym niebem. Ogromna twarz Franciszka, wyświetlona na monumentalnym ekranie, oddawała jego aparycję prawdziwej gwiazdy. Kiedy tak staliśmy, przysłuchując się jego łagodnym słowom wypowiedzianym po włosku, zapytałem Evę, czy wie, gdzie przebywa ten i n y papież, papież Benedykt, ten, który ustąpił i zniknął ze światowych radarów. Wiedziała. Jej ojciec niegdyś podlegał ojcu świętemu (podówczas jeszcze: Josephowi Ratzingerowi, arcybiskupowi Monachium) jako pracownik monachijskiego Uniwersytetu Katolickiego. Eva przekazała mi, że Benedykt XVI, który zachował tytuł papieża i zapewne wiele ze swoich uprawnień, wiódł spokojne życie w klasztorze raptem kilkaset metrów za sceną, na której obecnie stał papież Franciszek, w odosobnieniu za murami Watykanu, milczący, posłuszny, stary. Słowem: dwóch papieży oddalonych od siebie o rzut beretem! Zapytałem Evę, czy wie, kiedy ostatnio świat widział dwóch żyjących papieży. Sprawdziliśmy w Google'u. Wyniki wyszukiwania, które po chwili ukazały nam się na ekranie jej smartfona, zainspirowały powstanie zarówno tej książki, jak i filmu.

W 2013 ROKU PO RAZ PIERWSZY
OD SZEŚCIUSET LAT ZOSTAŁA ZŁAMANA TRADYCJA:
PAPIEŻ BENEDYKT XVI ABDYKOWAŁ.

Wkrótce później nowym papieżem został charyzmatyczny i postępowy Argentyńczyk, Jorge Bergoglio, znany odtąd jako Franciszek. Pierwszy od ponad tysiąca dwustu lat nie-Europejczyk.

Nagradzany scenarzysta *Teorii wszystkiego*, *Czasu mroku* i *Bohemian Rhapsody* pisze fascynującą i często zabawną opowieść o dwóch skrajnie różnych osobach. Dlaczego Benedykt XVI, najbardziej konserwatywny papież we współczesnym Kościele, podjął tak szokującą decyzję? I dlaczego ów obrońca doktryny rozważał ten krok? W jaki sposób ci dwaj mężczyźni stali się najpotężniejszymi ludźmi na Ziemi? Jak to jest być papieżem? Jaka jest przyszłość Kościoła katolickiego i miliarda wiernych?

McCarten po mistrzowsku splata życie dwóch papieży w porywającą narrację. Od doświadczeń wojennych Josepha i Jorgego w ich ojczyznach, poprzez skandale nadużyć seksualnych, które nadal wstrząsają fundamentami Kościoła, aż po intrygi i absurdy życia w Watykanie – *Dwóch papieży* skrzy się szczegółami na temat jednej z najbardziej nieprzejrzystych i znaczących instytucji na świecie.

WRITTEN BY ANTHONY MCCARTEN DIRECTED BY FERNANDO MEIRELLES

w sprzedaży także



cena 37,90 zł*

www.marginesy.com.pl

